



Mirosław Derecki

ROBOTNICY LUBLINA: OPOWIEŚĆ O RODZINIE
TRYCZYŃSKICH

Niedługo przyjdzie rozstać się z fabryką... Uroczystość zorganizowana przez radę zakładową, kwiaty, kieliszek wina, przemówienia, uściski dłoni... *No to, panie Józefie, czas znaczy się odpocząć. Ech, żebym to ja był na twoim miejscu, bracie, szczęśliwy jesteś, chłop młody, zdrowy i taka kupa wolnego czasu! Zachodźcie do nas często, z młodymi trzeba porozmawiać, pokazać to i owo, opowiedzieć, jak dawniej było, żeby sobie nie myśleli, że tak szast - prast władza ludowa z nieba spadła.*

Cieszyć się czy smucić? Tymczasem... w zakopconej ślusarni w budynku przy ulicy 1 Maja 16, na stanowisku koło okna, pochyła się już nad innym imadłem kto inny... (Może jakiś fusze, psiakrew!) Żaden usmolony ojciec rodziny, nie mówiąc o praktykantach, nie pogada o sprawach zakładu, nie zwróci się o radę, nie zagadnie nawet: Panie Tryczyński, to pan naprawdę już pięćdziesiąt lat na zakładzie robi? Znaczy się pół wieku w naszej Fabryce Maszyn Rolniczych? To pan jesteś... historia...!

Gadanie! Człowiek nagle dostał do ręki fant, z którym teraz nie wiadomo, co zrobić, a oni - historia! A tu się potrzeba uczyć żyć na nowo!

Urodzili się wszyscy na wsi. Jest taka wieś Zazulin w powiecie lubartowskim. Licho wie jaka ona teraz, pewnie chłopie rzepak sieją, murowane domy stawiają. Wtedy, na początku dwudziestego wieku, Zazulin to było błoto i nędza. Własnej ziemi nie było i roboty na cudzej też nie. Ojciec miał się najdorodniejszych prac, żadna nie trwała długo. Nie byli wsi potrzebni.

Tymczasem rodzina powiększała się. Nowy wiek dla rodziny Tryczyńskich otworzył swoim przyjściem na świat syn pierworodny - Stefan. W cztery lata później urodził się Józef, a po następnych trzech - Bolesław, potem byli jeszcze dwaj - Czesław i Wacław.

Ojciec wahał się długo, zanim się utwierdził w ostatecznej i zgoła „rewolucyjnej” decyzji: trzeba jechać do Lublina. W Lublinie budują fabryki. Fabrykom trzeba ludzi do pracy, a on się pracy nie boi. Zresztą, nie mają innego wyjścia. Pewnego dnia wyruszył z

żoną, dziećmi i tobołami. Podróż nie była łatwa i krótka, chociaż Lublin leżał stosunkowo niedaleko. Jechało się doń wtedy niby na Dzikie Zachód. Linii kolejowej w tych okolicach jeszcze nie zbudowano, o samochodach nie słyszano. Między Lubartowem a Lublinem kursował za to swoisty dylizans - wielki konny furgon z prostymi, drewnianymi ławami. Pasażerowie dzielili się na trzy klasy. Gdy furgon wjeżdżał na teren falisty, tylko „pierwsza klasa” miała przywilej pozostania na swoich miejscach. „Klasa druga” musiała własnonożnie pokonywać wzniesienia, zaś „trzecia” podpychać wóz pod górę... „Dylizans” wyruszał z Lubartowa wczesnym rankiem i już późnym popołudniem turkotał na lubelskim bruku. Tryczyńscy zjechali takim „dylizansem” do Lublina w roku 1908. „Klasowo” uplasowani - ma się rozumieć - najniżej.

Czas to był akurat znamienity. Jak podawał ówczesny „Kalendarz Lubelski”, minęły 2662 lata od założenia Rzymu, 416 lat od odkrycia Ameryki, przede wszystkim zaś przypadała właśnie czterdziesta rocznica narodzin Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja II Aleksandrowicza, od czternastu lat miłościwie panującego.

Miłościwie panowanie uzewnętrzniało się na co dzień w szeroko zakrojonej działalności ministra Stołypina, który w zdecydowany sposób usiłował wybić z głowy robotnikom rewolucyjne idee. Po gorącym okresie rewolucyjnym 1905-1906 r. lubelska PPS i SDKPiL musiały zejść do podziemia. O pracę w fabrykach było trudno. Pod byle pozorem pakowano robotników do więzień. Wychodzący w Lublinie „Kurier” donosił w numerze z 23 kwietnia 1908 r: *Onegdaj o godz.3-iej po południu nieznanymi sprawcami zabili 5 strzałami z rewolwerów żandarma Ochrymienkę. (...) w związku z onegdajszym zabójstwem poczynione zostały wczoraj rozległe rewizje po wszystkich fabrykach. Aresztowano razem 100 osób. Zabranie 45 osób w fabryce Wolskiego przyczyniło się podobno do zamknięcia fabryki. W zestawieniu z tą notatką fakt skazania w tym samym roku robotników lubelskich - Józefa Rotsztata i Aleksandra Borowskiego - na 6 i 4 lata ciężkich robót „za działalność partyjną” wydaje się rzeczą niemal naturalną...*

Samo miasto niewiele uszczknęło z blasków korony samodzierzcy Wszechrosji. Całe dzielnice tonęły w błocie, zaś wieczorem - w ciemnościach, tylko gdzieniegdzie rozświetlonych słabymi latarniami gazowymi. Poza centralnymi dzielnicami, wodę czerpano ze zwykłych studzien, ulicami z rzadka przeciągały konne omnibusy. O oświetleniu elektrycznym prawie nie słyszano, pierwsze bezpośrednie połączenie telefoniczne z Warszawą miał otrzymać Lublin dopiero za sześć lat. Za to każdy mieszkaniec miał zapewnione rozrywki kulturalne. Już za kilka kopiejek. Przybył właśnie do Lublina i stanął przy ulicy Jezuickiej słynny „Théâtre Optique Parisien”. Na migocącym ekranie można było podziwiać „Kurę z włosami”. „Minonoskę podczas burzy” lub „Nieszczęsną 500-rublowkę”.

Dla tych, którzy nad diabelski wynalazek bioskopu przedkładali uroki słowa pisanego,

„Kurier” drukował w odcinkach dydaktyczną powieść Władysława Gackiego - „Franek Antyalkoholik”. Niekiedy tylko zza szpalt miejscowej prasy wylaniał się niechcący obraz warunków życia klasy nie posiadającej - jakaś notatka donosząca o organizowanym na rzecz Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności koncercie filantropijnym, kończyła się słowami : „Kłęska głodowa szerząca się wśród ludności Lublina powinna zachęcić ogół do złożenia ofiar na biednych”.

Taki był w 1908 roku widok Lublina - „od kuchni”. Rodzina Tryczyńskich szybko zdała sobie sprawę, że do Eldorado nie trafiła.

Zamieszkali na odległym przedmieściu, nie posiadającym nawet oficjalnej nazwy, a określanym - „Za cukrownią”. Przy błotnistych, niebrukowanych ulicach stały rzędy prymitywnych „kamienic”, składających się z dziesięciu do dwunastu jednopokojowych mieszkań. Właśnie w jednym z nich osiedliła się siedmioosobowa rodzina chłopska z powiatu lubartowskiego. Mieli tutaj przeżyć ponad trzydzieści lat.

Dzielnica była typowo robotnicza. Nad okolicą wisiał duszny zapach wysłodków z niedalekiej cukrowni, dochodziły odgłosy syren z rozbudowujących się fabryk: maszyn rolniczych H. Wolskiego, wytwórni kotłów E. Plagego, u W. Moritza i wielkiego młyna braci Krausse. Z pobliskiego dworca kolei żelaznej słychać było świst lokomotyw i turkot przetaczanych wagonów.

Stary Tryczyński wyruszył na poszukiwanie pracy. Gdyby miał w ręku określony fach, gdyby był ślusarzem albo tokarzem, może by mu się powiodło w którejś z większych fabryk. Ale dla robotnika niewykwalifikowanego bramy takich zakładów były zamknięte. Po długich staraniach udało się wreszcie zaczepić w krochmalni.

Zarobki były nędzne. Rodzinie doskwierał głód. Dwaj najmłodszy synowie nie wytrzymali ciężkich warunków. Czesław i Wacław umarli wkrótce po przyjeździe do Lublina.

Trzej pozostali chłopcy - Stefan, Józef i Bolesław - zaczęli kolejno uczęszczać do szkoły przy ulicy Foksalnej, dzisiejszej - Armii Czerwonej. Codziennie rano przechodzili obok cukrowni, a potem mijali wysoki, kilkupiętrowy budynek fabryki maszyn rolniczych H. Wolskiego. Z tymi dwoma zakładami pracy mieli się w przyszłości związać na długie lata.

Najstarszy, Stefan, wykształcił się na stolarza. Jako kilkunastoletni chłopak zaczął pomagać rodzinie. Tryczyńskich spotkało szczęście - Stefan zdobył stałą pracę w fabryce Plagego. Uczucie radości nie trwało jednak długo. W lubelskich fabrykach rozpoczęły się wkrótce redukcje, ograniczano czas pracy. „Codzienny Kurier Lubelski” pisał: *Źle się dzieje robotnikom w Lublinie. Brak pracy wszystkim daje się odczuwać.* W fabryce Plagego-Laśkiewicza zredukowano dzień roboczy do 7 godzin, w fabryce wag Hessa i u Moritza do 4 dni w tygodniu, zamknięta została „na czas nieogroniczony” odlewnia żelaza B-ci

Frydmanów, zatrudniająca 50 robotników.

Tym razem los uśmiechnął się jednak do Tryczyńskich. Redukcje ich ominęły.

Rok 1918 przyniósł wielkie nadzieje. Polska odzyskiwała niepodległość. W Lublinie panowały nastroje rewolucyjne. 5 listopada powstała Lubelska Rada Delegatów Robotniczych. Dzień później ukonstytuował się rząd ludowy z Ignacym Daszyńskim na czele. Po ulicach miasta krążyły patrole Milicji Ludowej.

Już kilka miesięcy wcześniej w Lublinie ukazały się ulotki, wydane przez PPS i SDKPiL. *Towarzysze!* - głosiła jedna z nich - *Pożar ze wschodu obejmuje już Austrię i Niemcy (...) do walki staje proletariąt. (...) Proletariat Lublina nie pozostanie w tyle. (...) Towarzysze rosyjscy mogą być pewni, że ich starzy towarzysze broni z lat 1905 i 1906 nie zapomnieli sławnej tradycji powszechnego strajku i rewolucyjnej walki. Teraz słowa te miały się skonkretyzować. Ulotka, zwołująca robotników na wielki wiec, głosiło m. in. *Rozpocząć będziemy musieli bardzo energiczną walkę o demokratyzację tego przyszłego państwa, o zdobycie dla robotnika polskiego tych praw społecznych i politycznych - mu należnych, na które swą nieustanną walką (...) zasłużył. Czeką nas wreszcie walka o zmianę ustroju społecznego w myśl hasła społecznej sprawiedliwości!**

Nadzieje nie ziściły się. Niespełna rok później „Czerwony Sztandar”, organ KPP, rozpoczynał wstępny artykuł „Nad przepaścią” słowami: *Rok upływa jak polskie klasy posiadające dorwały się do władzy, rok nieopisanych cierpień ludu...*

W 1920 roku zaczął pracować syn średni, Józef. Przyjęto go jako ucznia ślusarskiego do fabryki maszyn rolniczych Wolskiego. Miał wówczas 15 lat.

Fabryka Wolskiego była wtedy jednym z najpotężniejszych zakładów przemysłu metalowego na Lubelszczyźnie. Powstała w 1875 r. w oparciu o kapitały ziemiańskie; ze względu na rodzaj produkcji (kieraty, młocarnie, brony sprężynowe, wialnie) nie narzekała na brak klientów. Dostać się do Wolskiego znaczyło zapewnić sobie kawałek chleba. Co zresztą jeszcze wcale nie oznaczało, że jest to chleb stały i zupełnie pewny. Wprawdzie w tzw. sezonie drzwi stały otworem nawet dla robotników niewykwalifikowanych, fabryka dawała zajęcie ponad czterystu osobom, odlewnia pracowała na dwie zmiany, a warsztaty po 10 godzin na dobę - ale zimą, gdy „sezon” się kończył, odprawiano nadwyżki siły roboczej, a stali robotnicy pracowali po 5 godzin dziennie i tylko przez 4 dni w tygodniu. Niewysokie zarobki stawały się wtedy wręcz głodowe. Park maszynowy był zużyty, przestarzały. Wypadki przy pracy nie należały do rzadkości.

Józefa omijały redukcje. Może zasługa w tym świętego Piotra w Okowach, patrona ślusarzy, ale większa chyba - niezwyklej pracowitości i dokładności, jaka cechowała młodego ślusarza. Po dzień dzisiejszy podkreślana jest w Lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych jego przysłówiowa już prawie punktualność i akuratność.

Mieszkanie Tryczyńskich przy ulicy Dzierżawnej powoli pustoszało. Najstarszy syn. Stefan, ożenił się i wyprowadził z domu. W 1923 r. zmarł schorowany ojciec. Na gospodarstwie została matka, coraz częściej wspominająca rodzinne strony, oraz dwóch dorosłych już prawie synów. Najmłodszy, Bolesław, zaczął pracować w cukrowni. Dla średniego byłaby pora na ożenek, ale Józef nie kwapił się do tego. Zbyt dobrze pamiętał niedawną biedę, a zdawał sobie sprawę, że i teraz, kiedy już warunki życia zmieniły się nieco na lepsze, nie zdoła zapewnić przyszłej rodzinie odpowiedniego poziomu życia. Stefan, choć już żonaty, pozostał bezdzietny.

W 1923 r. wybuchła w Lublinie kolejna fala strajków. Robotnicy „od Wolskiego” mieli w nich niepośledni udział. Miejskowa prasa stała po stronie fabrykantów, straszyla widmem komunizmu. Każdy kolejny numer gazety przynosił coraz bardziej „niepokojące” wieści.

„Głos Lubelski” z 21 lipca pisał: *W dniu 18 zastrajkowali tokarze w fabryce Wolskiego, w dniu 19 bm. - pomocnicy kowalscy, pucerzy i pomocnicy odlewni (...) - ogółem 164 ludzi (...) Ten sam mniej więcej fakt wytworzył się w innych fabrykach. (...) Ostatnie przesilenie walutowe jest zręcznie wykorzystywane przez agitację socjal- komunistyczną.*

W następnym dniu tenże „Głos Lubelski” bił na alarm: *Sytuacja w przemyśle metalowym komplikuje się. (...) Pracownicy metalowi, podżegani przez zręcznych i ukrytych wśród nich agitatorów komunistycznych, występują niby w obronie sutych zarobków. Jak się dowiedzieliśmy, żądają oni podwyżki 50 proc. i umowy do maja 1924 r.*

Stały wszystkie lubelskie fabryki. Strajkowało ponad półtora tysiąca osób. Tym razem fabrykanci dali za wygraną. 25 lipca rozpoczęto konferować w sprawie podwyżki płac. Obrady trwały cały dzień i dopiero późnym wieczorem doprowadziły do porozumienia, na mocy którego strajkujący otrzymali 50 proc. podwyżki. Nawiasem mówiąc, owe zwycięstwo nie trwało długo. Już rok później wybuchła bowiem w lubelskich fabrykach nowa fola strajków.

Dwaj starsi bracia tkwili mocno w środowisku robotniczym, brali udział w strajkach, udzielali się w związku zawodowym metalowców. Najmłodszy, Bolesław, wstąpił do KPP. W latach trzydziestych działał także w OMTUR. Tę swoją działalność przypłacił trzema latami więzienia.

Na rok przed wybuchem wojny do fabryki Wolskiego przeniósł się od Plage-Laśkiewicza Stefan Tryczyński. Miał już tutaj pozostać aż do emerytury, czyli przez trzydzieści lat. Józef kończył już u Wolskiego osiemnasty rok nieprzerwanej pracy.

Dla fabryki przyszły złe chwile. Produkcja ulegała ciągle zahamowaniom. Wreszcie fabrykę wystawiono na licytację. W 1939 r. dyrekcję objął Laśkiewicz. Po sześćdziesięciu pięciu latach istnienia zakład przechodził w „obce” ręce. Z niepokojem oczekiwano kolejnych redukcji i ograniczeń. Nim jednak Laśkiewicz zdołał mocno osadzić się w siodle wybuchła

wojna.

Teraz, pod zarządem niemieckim, fabryka przestawiła się głównie na produkcję dla wojska. Robiono tutaj tabory, piecyki do wagonów, lewarki samochodowe. Dzień pracy trwał 10,5 godz. Za tygodniowy zarobek można było kupić na czarnym rynku... kilogram słoniny. Chociaż Niemcy zaprowadzili rządy twardej ręki i nierzadko zdarzały się wypadki pobicia „opieszalnych” robotników, w zakładzie przez cały okres okupacji trwał mały sabotaż. Psuły się maszyny, ginęły najpotrzebniejsze części.

Bolesław Tryczyński znikł z Lublina. Jako komunista zostałby przez Niemców rozstrzelany, albo, w najlepszym wypadku, trafiłby do obozu koncentracyjnego. Rodzinę od czasu do czasu dochodziły słuchy, że żyje i działa w ruchu oporu. W pokoiku na Dzierżawnej pozostała już tylko matka. Józef w 1941 r. ożenił się i przeniósł do mieszkania żony przy ul. Kunickiego, Stefan postarał się o własne mieszkanie już wiele lat temu.

Wraz z oddziałami radzieckimi wkroczył do Lublina - w szeregach Armii Ludowej-Bolesław Tryczyński. Był członkiem PPR, zasłużył się w leśnych walkach z hitlerowcami. Nikt już nie pamięta, czy matka dożyła momentu powitania z synem. Chyba nie. W ostatnim okresie życia coraz bardziej ciągnęło ją na wieś. Zmarła w 1944 r. w Kijanach i tam, obok grobu swych rodziców, została pochowana. Żyła siedemdziesiąt trzy lata. Wraz z jej śmiercią zerwana została ostatnia więź rodziny Tryczyńskich ze wsią, z chłopstwem. Synowie nosili już na grzbiecie cały balast robotniczej historii Lublina, prawie zapomnieli, że wywodzą się z chłopów. W mieszkaniu „Za cukrownią” zamieszkali obcy ludzie.

Wyzwolenie zastało dawną fabrykę Wolskiego w stanie zdewastowanym. Brakowało surówki. Produkcja stanęła. Ale nie na długo. Robotnicy z własnej inicjatywy rozjechali się po okolicy w poszukiwaniu złomu. Wkrótce z hal produkcyjnych wyszły pierwsze maszyny dla rolników. Wrócił do biura Laśkiewicz. Na krótko, bo w 1947 r. fabryka została upaństwowiona i przemianowana na Lubelską Fabrykę Maszyn Rolniczych.

Józefowi urodził się syn. Bolesław wyjechał na ziemie zachodnie, został dyrektorem cukrowni i tam, jako ostatni z braci, także założył rodzinę.

W Lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych rozpoczęła się lawina zmian. Rozbudowywano hale produkcyjne. 70 proc. maszyn wymieniono na nowe. Zaczęto produkować wielkie, nowoczesne młocarnie różnych typów. W 1958 r. powstało tutaj własne biuro konstrukcyjne, zakład nawiązał ścisłą współpracę z instytutami maszyn rolniczych w Pomianowie i Kłudzienku oraz z Katedrą Mechanizacji Rolnictwa lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. O ile wartość produkcji w 1945 r. wynosiła 25 mln zł, to w 1964 r. wzrosła (w cenach porównywalnych) do 126,3 miliona. W tym samym czasie wyprodukowano 159 tys. maszyn rolniczych.

Dzisiaj fabryka znów zmienia swój profil produkcyjny. Przystawia się głównie na wy-

rób wałów przekładnikowych do napędu maszyn rolniczych z ciągnika.

W rodzinie Tryczyńskich zaszły dalsze zmiany. Rok temu na emeryturę odszedł najstarszy Stefan. Pięćdziesiąty rok stoi przy ślusarskim warsztacie Józef. I on wkrótce pożegna się z zakładem. Za długoletnią, ofiarną pracę w produkcji i w związkach zawodowych został odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Bolesław Tryczyński ma jeszcze kilka lat do emerytury, tkwi nadal na ziemiach zachodnich.

Najmłodsze pokolenie reprezentują - syn Bolesława, uczęszczający do technikum mechanicznego i syn Józefa - studiujący w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie inżynierię sanitarną.

Tak się przedstawia dotychczasowa historia rodziny Tryczyńskich

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 9, s. 3.